

KONKURS LITERACKI

Werdnirowe OPOWIASTKI

PRACE NAGRODZONE
W KONKURSIE LITERACKIM
DLA SZKÓŁ PODSTAWOWYCH
WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

1 IX–20 XII 2021

Wystawa

"Wszystkie arrasy króla. Powroty 2021 – 1961 – 1921"



ORGANIZATOR
Zamek Królewski na Wawelu

PARTNER



Biblioteka
Kraków



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu



Spis treści

Dagna Adamczyk <i>Tajemnica Borowego Lasu</i>	3
Sebastian Pazdro <i>O jednorożcu, który szukał swojego miejsca na ziemi</i>	5
Jacek Furmańczyk <i>Tajna misja wydry</i>	8
Franciszek Nocoń <i>Kim jestem?</i>	10
Kaspian Pasternak <i>Wyprawa po smocze jajo</i>	12
Vincent Fedorczak <i>Zagubione nici</i>	16
Patrycja Srebro <i>Zakłęte jezioro</i>	19
Małgorzata Adamska <i>Smok i pantera</i>	21
Ada Bątkiewicz <i>Czy z arrasów można się nauczyć czegoś o życiu</i>	24



Dagna Adamczyk

Tajemnica Borowego Lasu

I miejsce w kategorii wiekowej klas IV-VI

Dnia 17 czerwca roku pańskiego 1357 obudził się w lesie pewien łoś i pomyślał:

– Gdzie ja jestem? Co się stało? Dlaczego siedzę w lesie pod drzewem? Boli mnie głowa i razi słońce.

Z przerażeniem zaczął patrzeć na swoje dłonie, które były kopytami. Spojrzał raz jeszcze, nie uwierzył. Zamknął oczy i stracił świadomość.

Las był piękny i tajemniczy, drzewa szumiały monotennie, słychać było bzyczenie owadów i odgłosy rycia młodych dzików pod dębem. Nieopodal szumiał potok, nad którym słońce ogrzewało ciało młodego łośia. W oddali dzieciół stukał w modrzew.

Zwierzę ocknęło się niespodziewanie, stanęło na równe kopyta, parsknęło i rozejrzało się nieprzytomnie naokoło.

– To musi być sen! Jam jest Janko z Borowego Lasu! Nie jestem zwierzęciem! Jeszcze wczoraj byłem w zamku, dzisiaj miałem pojąć Sybillę, córkę pana na Oblęgorku za żonę. Pamiętam ucztę, nadziewane przepiórki, występ kuglarzy... Moją przyszłą żonę odzianą w błękitną suknię, jej długie warkoczki i oczy jak gwiazdy, gdy spoglądała na mnie ukradkiem pod czujnym okiem ojca. Pamiętam tańce i mojego ogara Nero. I miód lejący się strumieniami i... I... tę wiedźmę!

Na pewno ona mi to zrobiła! – pomyślał Janko zakłęty w ciele łośia.

– Co robić? Co robić?

Nagle w oddali usłyszał skowyt. O nie... Nero, przywódca psiej ferajny właśnie podjął trop. Janko poznałby swojego zawsze.

– Na Boga! Oni podjęli trop za mną!

Janko w ciele łośia zerwał się na równe nogi albo raczej kopyta i pognał przed siebie. Przeskoczył strumień, przebiegł przez chaszczkę dzikich ostrężyn, minął lisią norę; biegł tak szybko, bo słyszał warczenie swojej sfory psów myśliwskich i doskonale wiedział, do czego one są zdolne.

Nagle stanął. Znalazł się tuż nad urwiskiem. Do diaska! Przecież był na krańcach swojej ziemi i powinien pamiętać, że za wielkimi dębami jest uskok przed Straszną Grotą.

– Teraz już nie ma dla mnie ratunku – pomyślał łoś i stanął zdenerwowany na skraju urwiska.

Po krótkiej chwili dobiegła do niego sfera psów. Jego własnych psów, które brał na polowania, karmił pod stołem biesiadnym najlepszymi kośćciami i kochał je bardziej niż swoich niecnym i zawistnym braci.

To była stresująca chwila. Nero warczał na niego z oddali, za nim podchodzili w pozycji atakującej jego kompani. Zaczarowany łoś czuł, że zaraz jego tętnica zostanie przegryziona ostrymi kłami przyjaciela.

Nero zbliżył się niebezpiecznie. Młody panicz zaczął patrzeć mu w oczy, starając się siłą woli przekazać, że to on, Janko, jego pan i przyjaciel.

Nero zaczął wachać intensywnie powietrze naokoło. Przystanął. Zawył. Spojrzał głęboko w oczy ściganemu zwierzęciu, szczechnął i usiadł przed nim, a wraz za nim cała sfera wiernych gończych psów.

Janko stanął dęba i ryknął potężnie. W tym ryku zawarł całą swoją niemoc a zarazem złość na przekłętą wiedźmę, która zamieniła go w łośia.

– Mogło być gorzej – pomyślał Janko – łoś jest przecież królem lasu, Meluzyna mogła zamienić mnie w lisa, wydrę albo ryjówkę.

Nagle zerwał się wiatr, czarne chmury z dużą prędkością zaczęły pojawiać się na niebie, trzeba działać szybko, niedługo Sybilla dostrzeże jego nieobecność i do żadnych zaślubin nie dojdzie!

Janko zerwał się na cztery kopyta i pogalopował w stronę swojego zamczyska, a wraz z nim banda jego psich przyjaciół. W głowie zaczął obmyślać plan, z której strony wkroczyć do grodu, żeby jego łucznicy go nie postrzelili, a jednocześnie jak wejść do chaty wiedźmy i ją zabić. Na szczęście wiedźma mieszkała na skraju zabudowań, zaraz przy wejściu do lasu oraz koło cmentarzyska zmarłych na czarną ospę. Problemem były krwiożercze kruki, przyjaciele wiedźmy, które donosiły jej od razu, gdy ktoś zbliżył się za bardzo do jej chaty.

– Nie mogę się poddać! – zdecydował młodzieniec i zaczął biec jeszcze szybciej.

Chmury były coraz czarniejsze, wiatr wiał coraz mocniej, ogary były już bardzo zziębnięte, ale nie odstępowały Janka na krok.

Nagle pod wielkim bukiem ukazała się im postać, nad którą wkoło latały kruki. To Meluzyna!

Miała na sobie przerażającą maskę z dziobem kruka, długą suknię w bordowym kolorze a w ręku trzymała łaskę zakończoną pawimi piórami.

– Zatrzymaj się głupcze! – zawołała. – Wszystko robisz według mojego planu. Zakląłam cię w łośia a Sybillę w drzewo, koło którego się obudziłeś, bo chcę przejąć panowanie nad Borowym Grodem. Ugodziłam się już z władcami Smoczego Jaru oraz Leśnego Grodu – ja dostanę skrzynię talarów i piękny wóz z dwoma wierzchowcami, by wyjechać na południe, a Kazimierz i Bolesław podzielą ziemie Borowego grodu między siebie. A teraz możesz do mnie przemówić – łaskawym głosem powiedziała Meluzyna i delikatnie skinęła dłonią, spod której trysnęły iskry.

– Jak śmiałaś! Jak mogłaś! Powiedz, jak odzyskać moją ukochaną?! Rozkazuję ci – odmień nas natychmiast! – krzyczał Janko.

– Hahaha! Już nigdy nie będziesz młodzieńcem i nigdy nie poślubisz Sybilli! – roześmiała się szalenie Meluzyna.

Wiatr szarpał drzewami, czarne chmury szybko przesuwały się po niebie, a w oddali słychać było pierwsze grzmoty.

– Jesteś niegodziwym potworem! Niech Bóg sprawi, że zgubisz drogę i zaatakują cię wilki, a woda ze strumienia będzie dla ciebie jadem żmij! – ryknął panicz.

W tej chwili krwiożercze kruki zaczęły lecieć w stronę łośia oraz sfory psów. Zrobił się zgiełk i rumor. Dało się usłyszeć ujadanie psów i przeraźliwy skowyt zagryzanego ptactwa.

Momentami można by odnieść wrażenie, że to zastępy dzielnych żołnierzy walczą na placu boju. Po chwili miejsce bitwy spowiła cisza i jedynie zmęczone i dumne psy wpatrywały się w Meluzynę. Wiedźma zaczęła szeptać jakieś tajemne zaklęcie, po czym łoś ryknął wściekle, na sygnał czego ogary dokonały zemsty rozszarpując Meluzynę na strzępy. Zaczął padać deszcz.

Janko wrócił na miejsce swego przebudzenia pamiętając groźbę wiedźmy. Drzewo zaczęło szumieć, targane wietrzyskiem i deszczem, burza była coraz bliżej.

– Sybillo... – szepnął Janko. – Słyszysz mnie? – spytał łoś.

Drzewo zaszumiało jakby głośniej.

– Wiedźma rzuciła na nas czar, by przejąć gród. Ogary ją rozszarpały i boję się, że wszystko stracone. Pamiętaj tylko, że cię kocham i zostanę tutaj przy tobie do końca moich dni.

W tym momencie piorun uderzył w drzewo, które rozwarstwiło się na dwie części, na znak złamanych serc Janka i Sybilli.

Działo się to wszystko w średniowieczu, ale po dziś dzień miejscowi mieszkający w pobliżu Borowego Lasu opowiadają, że w środku boru podczas letnich burz, daje się słyszeć rozpaczliwy ryk łośia.



Sebastian Pazdro

O jednorożcu, który szukał swojego miejsca na ziemi

II miejsce w kategorii wiekowej klas IV-VI

Działo się to bardzo dawno temu, w czasach, kiedy ziemię porastały gęste puszcze, bory a tylko gdzieś pośród tych leśnych ostępów skrywały się niewielkie osady, pełne ludzkiego gwaru. W gęstwinie drzew spotkać można było dostojne jelenie, które dumnie eksponowały swoje poroża. Towarzyszyły im płochliwe sarny, opiekujące się młodymi. Wśród traw przemykały zwinne jaszczurki i podstępne węże. Nie można nie wspomnieć o wielkiej różnorodności leśnego ptactwa, wijącego swoje gniazda wśród gałęzi drzew. Człowiek zapuszczał się w niezbadane, leśne ostępy, żeby zdobyć pożywienie, jednak przez większość czasu życie leśnych mieszkańców toczyło się monotonicznie, według odwiecznego rytmu pór roku. Wszyscy lokatorzy spotykali się kilka razy dziennie w centralnym punkcie leśnej głuszy, na polanie, którą przecinał strumień, miejscami tak wąski, że bez problemu można było go przeskoczyć, a miejscami rozlewał się szeroko, tworząc spokojne zatoczki kuszące, by ugasić w nich pragnienie.

Nad całym tym krajobrazem górowało wysokie wzgórze, na szczycie którego stał okazały zamek. I właśnie u stóp tego wzgórza, wśród leśnej gęstwiny pojawienie się nowego przybysza przynosi historię o poszukiwaniu swojego miejsca na ziemi.

Pewnego chłodnego, jesiennego poranka wszyscy mieszkańcy lasu spotkali się, jak co dzień, nad brzegiem strumienia, przy wodopoju. Słońce zawisło nisko nad horyzontem, dając niewiele ciepła.

– Brrr. Znowu nadchodzi jesień – westchnęła sarna między kolejnymi łykami wody – liście spadną i nie będzie gdzie schronić się przed zimnymi podmuchami wiatru – dodała. – Jak ja nie lubię jesieni i zimy.

– Ssss. – zasyczał wąż wśród trawy. – Ty narzekasz a przynajmniej nie musisz pełzać w zimnym i mokrym śniegu. Ssss.

– Śnieg w gnieździe to też żadna przyjemność – dodał wróbel.

Jeleń, dumnie obnoszący się ze swoim porożem, czuwał nad spokojem zwierząt korzystających z wodopoju. Był w każdej chwili gotowy przywołać do porządku tych, którzy zakłócali spokój poranka. Dotyczyło to w szczególności węża wijącego się w gęstwinie traw, wciąż jeszcze szczególnie okazałych przy brzegach rzeki. W panującej ciszy słychać było tylko szum strumienia. Każdy podmuch wiatru strącał z drzew kolejne liście, które tańcowały w powietrzu, dopóki nie opadły cicho na ziemię. Nagle do czujnych uszu jelenia dobiegł odgłos łamanej gałęzi, a po chwili nad strumieniem pojawił się nowy przybysz. Spojrzał na zebraną gromadkę i odezwał się zakłopotany.

– Witajcie! – pochylił łeb, a kiedy go podniósł, zobaczył zaskoczone oblicza zwierząt.

Stojący na brzegu mieszkańcy lasu przyglądali się przybyszowi. Wyglądał, jak każdy jeleni, z długimi nogami zakończonymi kopytami, muskularnym grzbietem, krótkim ogonkiem i pociągłym łbem. Ale było coś, co zdecydowanie odróżniało go od każdego przedstawiciela jeleni... na czubku łba dumnie sterczał pojedynczy, długi róg.

– A cóż to za dziwne stworzenie? – zapytała sarna. I choć było to bardzo nietaktowne, obesła wokół przybysza, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

– Hu hu hu. To jednorożec – odezwała się z gałęzi sowa – moi przodkowie opowiadali mi legendy o jeleniach z jednym rogiem na czubku łba – kontynuowała typowym dla siebie głębokim głosem – nikt jeszcze nie widział ich na żywo.

– No to skąd ten wziął się w naszym lesie?

Sarna nadal nie mogła przestać się interesować nowo przybyłym gościem. Sowa, którą z powodu jej ogromnej wiedzy nazywano „Mądrą”, chciała początkowo coś powiedzieć, ale uprzedził ją jednorożec, który uśmiechnął się tajemniczo. Popatrzył na zgromadzonych i odezwał się.

– Wiem, że to ja jestem dla was obcy, ale mylicie się. Znam tu każdy rów, każdy strumień, każde drzewo i każde źdźbło trawy. Nie znacie mnie, bo wiele lat temu porzuciłem tak dobrze mi znane leśne ostępy w poszukiwaniu innego, lepszego świata. Urodziłem się w podwawelskiej puszczy, kiedy jeszcze wawelskie wzgórze nie było zamieszkałe. Powitały mnie na świecie ciepłe wiosenne promienie słońca. Pamiętam zapach wiosennego lasu, taki wilgotny a jednocześnie świeży. Na drzewach pojawiły się pierwsze zielone listki, soczyste i smaczne. Później przyszło lato. Przyniosło ze sobą żar słońca na polanie i przyjemny chłód w leśnych ostępach. Całymi godzinami pędziłem między drzewami, wolny i szczęśliwy. Później nadeszła jesień, niespodziewanie i zbyt szybko. Na początku była piękna, ciepła i pełna barw. Liście na drzewach mieniły się w słońcu wszystkimi kolorami. Dywan z liści, które opadły z drzew tak śmiesznie szeleścił pod kopytami. I wtedy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki świat się zmienił. Zrobiło się zimno i mokro. Słońce na krótko wychylało się zza chmur. Nawet śnieg, który przykrył ziemię, nie był w stanie mnie rozweselić. Strumień skuł lód, drzewa straszyły bezlistnymi gałęziami.

Wyobraźcie sobie mój zachwyty, kiedy znów wróciła wiosna. Myślałem, że to ostateczny koniec smutnego i ponurego czasu. Znowu było ciepło, słonecznie, drzewa szumiały, szemrała woda w strumieniu. Czuję się wspaniale. Nie przypuszczałem, że ponownie nadejdzie jesień, a ja znów poczuje się nieszczęśliwy. Podczas jednej z samotnych wędrówek po lesie spotkałem starego puchacza. Musiał dostrzec mój smutek bo spytał:

– Czemu tak piękne i dostojne, mistyczne stworzenie jest takie smutne?

– A czemu świat wokół raz jest piękny i jasny, by niespodziewanie zmienić się w smutny i szary? – odparłem ze złością i niezrozumieniem.

– Młody jesteś, to i o świecie wiesz niewiele – stwierdził pouczająco puchacz. – Z przyrodą już od wieków tak jest, że po wiosnie przychodzi lato, po lecie jesień a po jesieni zima, by wraz z odejściem zimy znów przyszała wiosna.

– W takim razie nie podoba mi się taki świat. Chcę, żeby zawsze było ciepło i słonecznie. Nie lubię drzew bez liści, zimnej ziemi i zamarznętego strumienia – powiedziałem rozżalony, z pełnym przekonaniem.

– Praw, jakimi rządzi się przyroda nie można zmienić, ale możesz poszukać dla siebie nowego miejsca na ziemi – usłyszałem. – Jest wiele pięknych krain. Może gdzieś tam jest twój nowy dom – dodał puchacz i odleciał.

– Długo zastanawiałem się nad jego słowami. Mijały kolejne lata a moja niechęć do zimnych miesięcy wcale nie malała. W końcu, którejś kolejnej jesieni zdecydowałem, że nadeszła pora, żeby wyruszyć w świat na poszukiwanie cudownej krainy, gdzie zawsze jest pięknie i słonecznie. Za radą puchacza wyruszyłem na południe. Początkowo niewiele się zmieniało. Każdy mijany las wyglądał właściwie podobnie. Jednak po jakimś czasie zacząłem dostrzegać różnice. Robiło się coraz cieplej i cieplej. I chociaż powinienem być zadowolony, to jednak wciąż chciałem więcej i więcej. Aż w końcu dotarłem do miejsca, gdzie było cudownie ciepło i słonecznie. Rozejrzałem się wokół zdziwiony. Bo niby znalazłem to, czego szukałem, ale gdzie podziały się drzewa, które dają schronienie przed upałem? Jak okiem sięgnąć tylko piach i pojedyncze kępki wysuszonej trawy. To nie mógł być raj, do którego zmierzałem. Postanowiłem wędrować dalej, poszukując swojego miejsca na ziemi, ale zawsze czegoś mi brakowało. Nie podobały mi się drzewa pokryte igliwem, męczyły wspinaczki wśród wysokich gór.

Trafiłem nawet do krainy, gdzie śnieg leżał stale a ja, rozglądając się, nie mogłem dostrzec ani jednego, nawet bezlistnego drzewa.

Jednak najbardziej niesamowitą rzeczą była możliwość spojrzenia na świat przez pryzmat mieszkańców tych dziwnych krain. Wszyscy uważali je za piękne i niepowtarzalne. Wielbłądy roztopiały się w zachwycie nad urokiem pustyni, foki wychwalały mi zalety lodowców, a spotkane w Tybecie jak nie wyobrażały sobie wędrówek po płaskim terenie. Spotkani przyjaciele za każdym razem domagali się opowieści o mojej ojczyźnie. Początkowo roztaczałem przed słuchaczami obraz krainy pozbawionej piękna, zimnej i nieprzyjaznej. Z czasem łapałem się na tym, że zaczynałem z rozrzewnieniem wracać wspomnieniami do ojczystych stron. Coraz bardziej tęskniłem. A za czym? Pewnie was zaskoczę, ale na pustyni brakowało mi szmeru strumienia i zielonej trawy, w górach tęskniłem za niekończącymi się leśnymi ścieżkami... a najbardziej sam siebie zaskoczyłem, kiedy pośród wiecznej zmarzliny piękne wydało mi się nawet wspomnienie bezlistnych, zimowych drzew.

Jednorożec przerwał swoją opowieść i spojrzał na zebrane wokół zwierzęta, zasłuchane i zaciekawione.

– I co dalej?! – wykrzyknęła ze zniecierpliwieniem sarna, przerywając ciszę.

– I... wróciłem do domu – odpowiedział z uśmiechem jednorożec. – Dzięki podróży uświadomiłem sobie, że to, czego tak długo poszukiwałem, miałem cały czas przy sobie... Wszędzie pięknie, ale w domu najpiękniej!





Jacek Furmańczyk

Tajna misja wydry

III miejsce w kategorii wiekowej klas IV-VI

Główną bohaterką tej historii jest pewna wawelska wydra.

Nie taka całkiem zwyczajna, jak pewnie myślicie, ale o tym przekonacie się za chwilę. Znać ją z jednego z królewskich arrasów. Stoi w wodzie, trzyma w pysku rybę, a wszystkiemu przyglądają się łabędzie. Tak to wygląda, gdy turyści zwiedzają zamek i oglądają królewskie werdiury, ale kiedy nikogo nie ma...kiedy kasy są już zamknięte, a kustosze siedzą w domach gobelinowy świat ożywa.

Oto przygoda jaką przeżyła pewna wydra.

Codziennie rano, nasza bohaterka wyruszała w kierunku jeziora i chwyciła w pysk jedną z największych ryb. A potem? Potem na pewno ją zjadała – tak sądziły łabędzie, które pływały w pobliżu miejsca, gdzie polowała wydra i głośno o tym mówiły, każdemu kto chciał ich słuchać. Słuchaczy było niewielu.

Pewnego dnia, a dokładniej w piątek, dwa łabędzie, które codziennie pływały po jeziorze zaczęły ze sobą rozmawiać o tym, co mają zamiar zrobić w następnym tygodniu i jak urozmaicić swoją dietę.

– Wiesz co, mam już dość tej rzęsy. Tylko rzęsa i rzęsa. Może spróbujemy czegoś innego? – Powiedział pierwszy łabędź.

– Ja też – odpowiedział drugi- ale czego?

– A może ryby? – nieśmiało podszeptnęła dziwna jaszczurka, stojąc na grubym pniu powalonego drzewa.

– A może ryby ? – powtórzył usłyszane słowa łabędź.

– Na ryby nie mamy szans. Ta sprytna wydra, każdego dnia wyławia największe okazy. Musiałymy jeść tylko małe. A to jak rzęsa, tylko z łuskami.

– Może pomogą wam dziwne jaszczurki – szepnęła stojąca na pniu jaszczurka.

– Wiesz co mam pomysł! – ucieszył się jeden z łabędzi. – Zwołamy tajne zebranie z tymi dziwnymi gadami i może wymyślimy jak dać nauczkę tej wydrze. – Powiedział, wskazując skrzydłem na jaszczurkę.

W tym samym czasie, niczego nie świadoma wydra, która tak naprawdę przenosiła w pysku ryby do innego, ukrytego stawu (a nie jadła) rozpoczynała kolejną misję ratunkową. Wiedziała, że łabędziom nie można ufać. Udają tylko, że lubią jeść rzęsę, a tak naprawdę wymyślają sposób jak wyłowić ryby. Tymczasem ona chciała je ocalić.

Kiedy właśnie wrzucała kolejną rybę do stawu, ukrytego za lasem w oddali, w jej głowie pojawił się myśl ryby, która powiedziała jej tak: *Dwa łabędzie i dziwne gady chcą ci zrobić coś złego, więc uważaj na siebie! Ale i tak dalej przenoś ryby tutaj do tego ukrytego stawu, bo tu są bezpieczne.*

W czasie kiedy wydra odbierała przekaz od ryby, zaczęło się tajne spotkanie dziwnych gadów i łabędzi. Narada ta odbywała się głęboko w trzcinach, przy jeziorze.

– No więc ja mam plan! – zaczął dziwny gad, który wcześniej podpowiadał łabędziowi.

– Powiesz jaki? – zapytał pierwszy łabędź.

– Tak. Plan jest taki ,że z liści uszyjemy dużą rybę, do której wejdziemy i kiedy wydra nas przeniesie do swojej kryjówki to my ją capniemy wyskakując z tego kostiumu. I utopimy w innym jeziorze. Jak jej nie będzie, sami będziemy zjadać wszystkie ryby.

– Super jest ten plan!! – Odpowiedzieli wszyscy pozostali.

– A tylko w jakim innym jeziorze utopimy wydrę? – zapytał się drugi dziwny gad.

– W jakimś na pewno. – Odpowiedział autor planu.

Po skończonym spotkaniu wszystkie zwierzęta poszły do siebie i kawałkami zaczęły szyć kostium ryby.

Natomiast wydra bardzo mocno wzięła do siebie przekaz od ryby, bo następnego dnia, zamiast o 6:00 poszła ratować ryby o 4:00. O takiej godzinie prawie każdy śpi i dzięki temu była bezpieczniejsza.

Po kilku takich dniach kostium ryby był już gotowy, więc łabędzie i dziwne gady nałożyły go i wskoczyły do wody. Na ich nieszczęście wydra była tego dnia chora, leżała w norze i nie przeprowadzała misji ratunkowych.

– Chyba twój plan nie wypalił. – Powiedział łabędź pierwszy.

– Ale na szczęście mam drugi. Drugi plan jest taki, że my wyłowimy przed wydrą wszystkie ryby a potem je zjemy – Odpowiedział dziwny gad.

Tymczasem, chwilę po tym wydarzeniu wydra dostała kolejny przekaz myślowy od ryby: *Oni zamierzają wyłowić wszystkie ryby ze stawu. Musisz je dziś w nocy uratować, bo jutro już tych ryb nie będzie!*

Po takiej wiadomości wydra przygotowała się do tajnej nocnej misji ratunkowej. Jednej nocy wyłowiała wszystkie pozostałe ryby i przeniosła je w bezpieczne miejsce. Odtąd, w domku przy ukrytym stawie żyła długo i szczęśliwie, żywiąc cię jagodami.

Po tym, jak kolejny plan dziwnych gadów się nie sprawdził, łabędzie się zdenerwowały i zaczęły gonić dziwne jaszczurki po całym arrasowym świecie. I podobno do dziś gonią, dlatego czasem możecie je zobaczyć na zupełnie innej werdiurze.





Franciszek Nocoń

Kim jestem?

Wyróżnienie w kategorii wiekowej klas IV-VI

Pewnego dnia w pewnym cichym zagajniku urodziło się tajemnicze stworzonko. Niestety, nie pamiętało swoich rodziców i nie było pewne, jak się nazywa. Wydawało mu się, że rodzice nazwali go Błażej.

Okolica była cudna: malownicze pagórki i drzewa porośnięte bluszczem. A w oddali widać było góry. Wszystko to podziwiałoby stworzonko razem ze złośliwą papugą, która często śmiała się z niego. A krajobraz był niesamowity! Niestety z czasem zaczął się zmieniać. Ludzie odkryli to miejsce i zaczęli się osiedlać. Po pewnym czasie ścięli niektóre drzewa. W pobliskich górach zbudowali zamek. A niedaleko powstało nawet miasto. W tym czasie stworzenie nauczyło się wstawać.

Pewnego lipcowego dnia ruszyło się ze swojego miejsca. Niedaleko chodził sobie ryś, szukając pożywienia. Pierwszy raz zobaczył tak dziwne zwierzę. Dziwne stworzenie odezwało się do rysia:

- Czy ty wiesz, kim ja jestem?
- Nie do końca. Najbardziej prawdopodobne, że jesteś zwidem.
- Głupcze! Nie jestem żadnym zwidem! Jestem Błażej!
- Faktycznie nie jesteś zwidem, ale jesteś dziwny, bo pierwszy raz widzę takie stworzenie.

Jak chcesz się coś dowiedzieć o sobie, to popatrz w ten strumyk – mówiąc to pokazał rzeczkę obok. Stworzonko chwiejnym krokiem doszło do rzeki i przyjrzało się postaci na tafli wody.

- Czy to ja? – nie mogło uwierzyć stworzonko.
- Tak to ty – potwierdził ryś.

Stworzonko wyglądało jak żyrafa pokryta cętkami z futrem na przodzie szyi. Najdziwniejszy był róg z tyłu głowy. Stworzonko posmutniało. Nie wiedziało dotąd, jak wygląda, a teraz okazało się, że według rysia jest „dziwne”. Ryś, jak zobaczył minę stworzonka, zaczął mu współczuć. Zrobiło mu się go żal.

- Słuchaj, każdy jest inny i to nie jest tak katastrofalnie złe. Widzisz to drzewo z czerwonymi owocami? To są jabłka, zrzuć mi kilka.

Stworzonko niezgrabnie podeszło do jabłonki i zrzuciło mnóstwo jabłek. Ryś z braku innego pożywienia spróbował jabłek. I wtedy coś usłyszał. Po drugiej stronie drzewa ktoś pożerał owoce. Ryś zakradł się i skoczył na niego.

- Przestań! – wykrzyczała istota, która okazała się koniem. – Ostatnio spotykają mnie same nieszczęścia, a teraz jeszcze to.

- Co ci się przydarzyło?

- Otóż, przechadzałem się z moją mamą, a tu nagle zza drzew wyłonili się ludzie i zabrali moją mamę. Następnego ranka, jak galopowałem obok miasta, zobaczyłem, że na grzbiecie mojej mamy wyjechał człowiek. Teraz pragnę zemsty, lecz dzieli mnie od niej mur miejski.

- Ja cię mogę podsadzić – odezwało się nagle stworzonko.
- Świetnie! – ucieszył się koń i pogalopował do murów.

Stworzonko nie umiało biegać, więc doszło do muru dopiero po kilku minutach. Zniżyło głowę, a konik wszedł na nią. Stworzonko runęło na ziemię. Konie są bardzo ciężkie, a ono okazało się zbyt słabe. Wtedy przypomniało sobie, że jest inne i może to teraz wykorzystać i udowodnić swoją wartość. I udało się! Resztkami sił podniosło głowę i podsadziło ponownie konia, a potem upadło. Jeszcze przez chwilę z rysiem słyszeli okrzyki bojowe konia dochodzące zza muru, aż te ucichły. Potem wrócili nad swoją rzekę.

Następnego ranka nad rzeką przechadzały się dwa konie. Matka z synem. Nagle stworzonko usłyszało: „cześć”, odwróciło się i rozpoznało w synu konia, którego podsadziło. Z radością odpowiedziało:

– Cześć.

– Jestem ci bardzo wdzięczny! Dzięki tobie uratowałem moją mamę. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Gdy konie odeszły, stworzonko położyło się obok drzewo obrośniętego bluszczem.

Wtedy żaba spytała się stworzonka:

– Kim jesteś?

A ono bez wahania odpowiedziało:

– Jestem inny, ale to nie oznacza, że gorszy. Mam przyjaciół i dzięki nim zdobyłem poczucie własnej wartości. Myślę, że moi rodzice byliby ze mnie dumni. Dumni ze swojego synka, Błażeja!





Kaspian Pasternak

Wyprawa po smocze jajo

Wyróżnienie w kategorii wiekowej klas IV-VI

Łowczy

Chcę Wam opowiedzieć pewną mało znaną historię, która wydarzyła się w czasach, kiedy wokół nas żyły jeszcze mityczne stworzenia a świat był... dużo bardziej tajemniczy.

Bohaterem tej opowieści jest myśliwy o imieniu Marcin.

Ów Marcin był łowczym na pewnym dworze, na którym rządy sprawował król Kacper Pierwszy.

Marcin był młody, wysokim i wysportowanym mężczyzną. Dzięki funkcji jaką sprawował, dużo czasu spędzał w ruchu i miał dobrą kondycję.

Miał brązowe włosy a oczy niebieskie o świdrującym spojrzeniu.

I zawsze nosił przy sobie łuk.

Pewnego spokojnego dnia, gdy Marcin ćwiczył strzelanie z łuku, podszedł do niego giermek króla Kacpra i powiedział:

— Witaj Marcinie.

— Witaj Filipie, co cię do mnie sprowadza? — zapytał zaciekawiony Marcin

— Król kazał wezwać cię do zamku, masz zjawić się najszybciej jak to możliwe — powiedział Filip

— Czy stało się coś złego? — chciał wiedzieć nasz bohater.

— Wszystkiego dowiesz się od króla — odrzekł giermek i odszedł spieszenie.

Marcin nie zastanawiał się zbyt długo, o co może chodzić królowi, po prostu zabrał swoje rzeczy i udał się do zamku.

Po przybyciu na miejsce okazało się, że myśliwy musi poczekać w kolejce do władcy, ponieważ król miał dzisiaj bardzo wiele spraw do załatwienia. Gdy przyszła już jego kolej Marcin wszedł do komnaty, w której na wielkim tronie siedział król Kacper.

— Wasza Wysokość mnie wzywał? — zapytał, kłaniając się Marcin.

— Tak wzywałem, podejdź bliżej, musimy omówić pewne kwestie — powiedział wyniośle król.

Marcin podszedł i czekał. Król pomyślał chwilę i rzekł:

— Drogi Marcinie w naszych spiżarniach zaczyna brakować mięsa, a w okolicznych lasach nie ma już zwierzyny, na którą można by polować. Dlatego posyłam cię na wyprawę w celu znalezienia nowych terenów łowieckich. Jesteś jednym z najlepszych myśliwych w moim królestwie, dlatego wiem, że dasz radę — rzekł król.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy Królu — odpowiedział przejęty Marcin i się oddalił.

Marcin po wizycie w zamku czym prędzej zaczął przygotowania do wyprawy, był bardzo podniekowany. Zabrał ze sobą wszystkie niezbędne rzeczy, które mogły mu być potrzebne na takiej wyprawie.

Wyprawa

Nazajutrz o świcie Marcin wyruszył w drogę. Udał się na wschód, dlatego że tam były lasy, do których ludzie się nie zapuszczali, ponieważ krążyły o nich mrozące krew w żyłach legendy, ale nasz łowczy był niesamowicie odważny.

Droga na skraj puszczy zajęła mu kilka dni, ale był to przyjemny czas, pogoda dopisywała i Marcin nie narzekał.

Gdy dotarł na miejsce, zobaczył ogromne drzewa tak gęsto rosnące, że wydawało mu się, że nie będzie w stanie wejść do lasu. Pokręcił się chwilę po okolicy i znalazł miejsce, w którym drzewa nie rosły tak gęsto, wszedł w głąb lasu.

Gdy wędrował wśród drzew i rozglądał się, za zwierzyną której nigdzie nie było, ujrzał dziwnie splecione ze sobą drzewa, których gałęzie tworzyły coś w rodzaju bramy. Był to dziwny widok, ponieważ wyglądało to jakby po drugiej stronie była tylko ciemność.

Jednak nasz dzielny bohater chciał zobaczyć, co tam jest i nie lękał się nieznanego. Wkroczył dzielnie w bramę stworzoną przez gałęzie, jakież było jego zdziwienie, gdy po zrobieniu kilku kroków znalazł się w całkiem innym miejscu...

Miejsce to wyglądało zupełnie inaczej niż puszcza, w której do tej pory przebywał. Drzewa tutaj rosły w dużych odstępach od siebie, były wysokie i smukłe, kolor ich liści różnił się od tych, które wcześniej widział Marcin, te tutaj były w dziwnym kolorze, niektóre wyglądały na niebieskie, a inne na złote. Jeszcze czegoś takiego Marcin w życiu nie widział.

Postanowił pójść dalej, to co tam zobaczył, wprawiło go w osłupienie. Była tam polana, na środku której biegał przepiękny koń, jego ogon falował na wietrze. Trawa miała kolor zboża gotowego do zbioru, gdzieniegdzie wyglądała jakby pomalowana atramentem. Po lewej stronie płynął strumień, w którym woda miała kolor błękitu, nad strumieniem stało zwierzę podobne do rysia, ale bardziej potężne, jakby połączenie rysia i niedźwiedzia. Po prawej stronie leżała spokojnie sarna, tak na początku pomyślał Marcin, ale po chwili zauważył, że zwierzę to ma cętkowaną sierść, bardzo długą szyję, a na czubku głowy jeden zakrzywiony do tyłu róg. Na drzewach, które były oplecione bluszczem, siedziały piękne kolorowe ptaki i dziwnie wyglądający kot. W oddali widać było góry, których szczyty wyglądały, jakby były zaśnieżone, a u podnóża góry leżało miasto. Miejsce to wydawała się znajome, budowle widziane z daleka wyglądały jak z miejsca, w którym Marcin mieszkał, ale coś tutaj było inaczej.

W pobliżu nie było widać żadnego człowieka, wydawało się to bardzo dziwne. Nasz bohater postanowił udać się do miasta. Szedł doliną i obserwował okolicę, wyglądała ona jak opuszczona przez ludzi. Nagle na jego drodze stanęło zwierzę, które wcześniej Marcin widział nad strumieniem.

— Czego tu szukasz, człowieku?! — zapytał groźnym głosem ryś.

Marcin nie wiedział, co się dzieje, przecież zwierzęta nie umieją mówić.

— Pytam się, czego tu szukasz? — powtórzył ryś.

— Ty potrafisz mówić?! — zapytał zaskoczony Marcin.

— Oczywiście, że potrafię, wszyscy tu umiemy mówić, co cię tak dziwi? — rzekł ryś.

— Co mnie dziwi? Przecież zwierzęta nie umieją mówić, a ty ze mną rozmawiasz! — powiedział zmieszany Marcin.

— Aa, to ty jesteś z tamtej krainy? — powiedział zwierzę.

— Z jakiej krainy? Nie wiem, o co ci chodzi? Tam jest miasto, w którym mieszkam. O czym ty mówisz? — zapytał zaniepokojony Marcin.

— Usiądź — poprosił ryś.

Nasz bohater posłuchał i usiadł na trawie, a ryś zaczął opowiadać.

Azyl

Kraina, w której się znalazłeś, należy do zwierząt — zaczął ryś. — Ludzie tu nie mieszkają. To azyl dla wszystkich mitycznych stworzeń, którym człowiek zagraża. Nie rozumiem, jak się tu dostałeś, ale na pewno jest jakiś powód. Zwykli ludzie nie widzą bramy, jest ona widoczna tylko dla zwierząt. Musi w tobie być coś wyjątkowego. Kim jesteś? — zapytał ryś.

— Jestem Marcin, pierwszy łowczy w królestwie króla Kacpra — oznajmił nasz bohater.

— Czyli jesteś niebezpieczny dla tutejszych stworzeń. Dlaczego zatem brama Cię wpuściła? — dziwił się ryś.

— Mówisz o tej leśnej bramie z gałęzi? — zapytał łowczy

— Tak, o niej. Brama nie wpuszcza tutaj nikogo, kto mógłby być zagrożeniem dla mieszkańców krainy — odpowiedział zwierz.

— Chodź, zaprowadzę Cię do smoka, który rządzi tą krainą. On wie wszystko i na pewno coś wymyśli — rzekł ryś.

Marcin ruszył u boku niezwyklego kompana w stronę zamku.

Po dotarciu na miejsce ryś nakazał Marcinowi poczekać na zamkowym dziedzińcu. Po dłuższej chwili na dziedzińcu zjawił się smok. Był on bardzo duży a jego skóra była pokryta czerwonymi łuskami, które mieniły się w słońcu.

— Witaj, miło mi cię widzieć, czekałem na twoje przybycie — rzekł donośnym głosem smok.

— Co? Jak to na mnie czekałeś? — zapytał zdziwiony łowca.

— Drogi człowieku do tej krainy nie przejdzie nikt bez mojej zgody. Sprowadziłem cię tutaj, ponieważ wiem, że nie polujesz dla przyjemności — powiedział smok.

— Jak to mnie obserwowałeś, przecież w mojej krainie nie ma smoków — rzekł Marcin.

— Tak wiem, ale na pewno o mnie słyszałeś. Kiedyś mieszkałem nieopodal ciebie w mieście, które nosi nazwę Kraków i nazywano mnie smokiem Wawelskim — zaczął opowiadać smok.

— Wiem, że wszyscy myślą, że zginąłem za sprawą Szewczyka Dratewki, ale ja wiedziałem co on zamierza, nie zjadłem owcy i w nocy zrzuciłem skórę, żeby wszyscy myśleli, że pękłem — wyjaśniał smok.

Stworzyłem tę krainę dla wszystkich fantastycznych stworzeń, żeby mogły znaleźć tu schronienie. Dlatego mam do ciebie wielką prośbę, chciałbym abyś udał się do Krakowa, wszedł do groty, którą zamieszkiwałem i zabrał stamtąd bezcenną dla mnie rzecz. Czy mogę liczyć na twoją pomoc? — zapytał zatroskany smok.

Nasz bohater był przejęty usłyszaną opowieścią, znał historię Smoka Wawelskiego i nie mógł uwierzyć, że teraz z nim rozmawia, bardzo chciał mu pomóc.

— Z chęcią ci pomogę, co to za rzecz, którą chcesz odzyskać? — zapytał Marcin.

— Jest to jajo, którego nie mogłem wziąć ze sobą uciekając z Krakowa — odpowiedział smok.

Dwójka bohaterów omówiła plan odzyskania jaja. Smok opisał Marcinowi okolice zamku Wawelskiego,

powiedział jak dostać się do groty niezauważenie i gdzie ukrył jajo.

Misja

Marcin wyruszył następnego dnia o świcie do Krakowa. Podróż miała potrwać dwa dni. Pod koniec pierwszego dnia nasz bohater rozbił obóz, żeby odpocząć. Nie mógł zasnąć więc wyciągnął wtedy swój szkicownik i narysował polanę, którą zobaczył po przybyciu do Azylu strzeżonego przez smoka.

Następnego dnia wieczorem był już w Krakowie, poczekał aż zapadnie noc i udał się do smoczej groty. Znalezienie wejścia nie było trudne. Poszedł w miejsce wskazane przez smoka a tam zobaczył jajo, które było jakby całe pokryte złotem.

Marcin ostrożnie podniósł smocze jajo i umieścił je we wcześniej przygotowanej torbie. Niezauważenie opuścił smoczą grotę i udał się w drogę powrotną. Gdy dotarł na miejsce oddał jajo smokowi, który był bardzo szczęśliwy z sukcesu Marcina.

— Dziękuję przyjacielu, nawet nie wiesz ile to dla mnie znaczy, jestem twoim dłużnikiem — powiedział uradowany smok.

— Nie ma za co, czy mogę jeszcze jakoś pomóc? — zapytał nasz bohater.

— Jeśli chcesz, możesz szukać stworzeń, które potrzebują pomocy i przyprowadzać je tutaj — rzekł smok.

— Zrobię to z radością — odpowiedział Marcin.

Marcin spędził w Azylu jeszcze kilka dni, po czym udał się w drogę powrotną. Powiedział królowi tyle ile mógł i przyznał, że nie udało mu się wykonać zadania. Król nie był zadowolony i w złości wyrzucił Marcina z dworu. Oznaczało to, że nie jest już łowczym królestwa. Był jednak zadowolony z rozwoju sytuacji, miał przecież szlachetniejszą misję do wykonania. Podróżował po świecie i odnajdywał fantastyczne stworzenia, którym wskazywał drogę do Azylu.

Po wielu latach szkicownik Marcina wpadł w ręce pewnemu tkaczowi. Jeśli chcecie zobaczyć jak wyglądała np. napotkana przez Marcina polana Azylu, możecie zobaczyć ją wśród 44 werdiur na Zamku Królewskiego na Wawelu.

A smoki... na razie nie chcą być odnalezione.





Vincent Fedorczak

Zagubione nici

Wyróżnienie w kategorii wiekowej klas IV-VI

Nie tak dawno, i nie tak daleko pewna klasa wybrała się na wycieczkę do muzeum. Mieli oglądać arras, które pierwszy raz od niepamiętnych czasów zostały zebrane w jednym miejscu. Wszystkie dzieci były bardzo podekscytowane, a najbardziej Vincent, któremu Wawel i jego wiele skarbów zawsze się podobały. Dzieci przechodziły z sali do sali, podziwiając rozwieszane tkaniny. Wiele osób podzieliło się na mniejsze grupy:

W pierwszej ekipie byli: Anastazja, Maja i Sofii.

W drugiej uczestniczyli: Tymon, Lena, Tina i Wiktoria.

W ostatniej grupie był Vincent, Stefan i Julka, którzy przy każdym arrasie stawali dłużej podziwiając sztukę dawnych mistrzów. Dlatego, w pewnym momencie zostali w tyle. Uwagę Julki przykuł smok, który walczył z panterą, chwycił swą ofiarę w zębiska i tak trzymał. Chłopcy podeszli do niej.

W co się tak wpatrujesz? – spytał Stefan.

Nie wiem, ale wydaje mi się, że ten smok mrugnął do mnie okiem – odpowiedziała dziewczynka.

Julka, chyba masz rację, bo to zwierzę zaczyna się ruszać! – wtrącił Vincent.

W tym momencie zrobiło się ciemno, i nie wiadomo skąd, zerwał się wiatr. Usłyszeli najpierw głos proszący o pomoc, a później przed nimi stał ten sam smok, który mrugnął do Julki okiem.

Stefan z przerażeniem krzyknął – Co to?! – i się rozplakał.

Nie bójcie się mnie, potrzebuję pomocy. Nie zrobię wam krzywdy. Jesteście pierwszymi osobami, które mnie zauważyły – powiedział stwór.

Pierwszy uspokoił się Vincent – Jakiej pomocy?

Widzicie mój arras? Te puste miejsca? Coś, co noc kradnie nici. Niedługo ja i moi towarzysze przestaniemy istnieć – odparł smok.

– Jak to „coś”? – spytała Julka.

– Tak do końca, to nie wiem. My bohaterowie arrasów nigdy tego czegoś nie widzieliśmy. To wszystko się dzieje w nocy, kiedy Wawel opustoszeje. Rankiem stwierdzamy, że jakiejś części tła, lub co gorsze, któregoś z nas brakuje.

– I nikt niczego nie widział lub nie słyszał? – dopytywał się Stefan.

– Ponoć ktoś z Sali Poselskiej, wie coś więcej, jednak nigdy nie udało mi się tam dotrzeć. Jestem tylko utkanym stworzeniem i nie mam siły, by otworzyć te ciężkie drzwi, które są zamykane każdego dnia po skończonym zwiedzaniu.

– Więc chodźmy tam, ja wiem, gdzie jest ta sala. – wykrzyknął Vincent.

I wszyscy ruszyli w kierunku jadalni, przez schody poselskie dostali się na drugie piętro. Kiedy stanęli przed drzwiami, prowadzącymi do sali poselskiej, drogę zagroziły im dwie zbroje, krzyżując broń.

– Stać, przejścia nie ma! – Odezwał się jeden ze strażników.

– Jak to nie ma. My musimy się dostać do środka – odezwał się Stefan.

– Stać, przejścia nie ma! – powtórzył drugi.

– Mówią jak roboty – zauważyła Julka – Wielmożni panowie, co musimy zrobić, abyście nas przepuścili.

Obaj rycerze zwrócili wzrok w stronę dziewczynki. – Należy się przedstawić i podać cel waszej wizyty – odpowiedział jeden z rycerzy.

Dzieci i smok przedstawiły się i opowiedziały, co ich sprowadza do sali. Strażnicy spojrzeli po sobie, wyprostowali się, złożyli broń i trzy razy zastukali butami. Jeden z nich odwrócił się, otworzył drzwi do komnaty

i krzyknął – Królewicze Vincent i Stefan oraz królowa Julia z odległego kraju oraz smok Drako, pragną porozmawiać w sprawie skradzionych nici!

Stefan stał z rozdziawioną miną – królewicze? – spytał. Wszyscy usłyszeli – śmiało.

Weszli do dużej sali. Na środku leżał długi czerwony dywan, wspinający się po trzech schodkach, prowadzący do wielkiego tronu, na którym siedział starzec, w długich szatach. Na wszystkich ścianach wisiały olbrzymie arras, z których ludzie, zwierzęta, nawet roślinność zwróciły się w stronę przybyłych.

– To pewnie król – wyszeptała Julka.

– Ciekawe, który? – zapytał Vincent.

– Jak to, który? Ten najwspanialszy, ten który nas tu sprowadził – wyszeptał smok.

– Witajcie! Drako, dawno się nie widzieliśmy, co was tu sprowadza? – zapytał król.

– Witaj, wielmożny Panie – pochylając się, odpowiedział Drako. – Panie przybyliśmy tu, żeby się dowiedzieć, kto kradnie nici z arrasów. My z pierwszego piętra słyszeliśmy, że tu znajdziemy odpowiedź.

– Zaiste, znajdziecie – odparł król, który wstał i gorączkowo zaczął się przechadzać, wokół tronu. Stał i spojrzał w górę – jeśli znasz odpowiedź, przemów kobieto. Zapadła cisza i wszyscy skierowali wzrok w stronę stropu, spod którego odezwał się głos jednej z głów.

– Panie, ta osoba, która to robi, nie kradnie nici. Nawet nie jest świadoma, że coś zabiera.

Król zdziwiony zapytał – Jak to?

– Panie, przecież znasz błazna. Jest rozrywkowy, żartowniś z niego. Ze wszystkimi musi poplotkować, o wszystkim musi wiedzieć. Najbardziej upodobał sobie ostatnio bohaterów arrasów. Szwenda się od sali do sali, śmiejąc się, pokłada się ze śmiechu, zaczepiając dzwoneczkami przyczepionymi do czapki o nici. Kiedy odchodzi, zaczepiona przędza frunie za nim, dopóki nie skończy tematu.

Zapadła cisza, którą przerwało pytanie króla. – Matko Naturo, czy jeśli zbierzemy nici, arras, odzyskają swój blask i postacie? Przepiękna Pani wyskoczyła z arrasu – Tak mi się wydaje, ale pewności nie mam. Musimy spróbować. Zygmuncie, niech wszyscy rozbiegną się po komnatach i spróbują odzyskać nici. Później zastanowimy się, co dalej zrobić. Ja wiem, co dalej zrobimy – do króla podszedł starzec pewnie, wiekiem zbliżony do niego, lecz dużo niższy.

– Łokietek. To Łokietek – zdało się słyszeć szmery.

– Poproszę królową Pająków Teklę o pomoc. Raz uchroniła mnie, przed zagładą. Myślę, że teraz też pomorze. A póki co, niech wszyscy wyruszą na poszukiwanie nici.

Z obrazów, arrasów wyskoczyły zwierzęta, ludzie, stwory nawet roślinność, każdy chciał pomóc. Rozbiegli się po zamczysku w poszukiwaniu nici. Król zwrócił się do Vincenta, Stefana i Julki aby odzyskali błazna, zapewne razem z Bolesławem przechadzają się po krużgankach. Dzieciaki wybiegły i udały się na dziedziniec. Nie musiały długo szukać. Obecność błazna i Chrobrego zdradził delikatny dźwięk dzwoneczków i stłumione śmiechy. Dzieci podbiegły do nich, ukłoniły się, przedstawiły. – Miłościwy Panie, Stańczyku, król Zygmunt prosi Cię, abyś niezwłocznie udał się do Sali Poselskiej – oznajmił Vincent. Błazen zbladł. – Co znowu przeskrobałeś? – zapytał rozbawiony Bolesław. Z przerażenia żartowniś nic nie odpowiedział, tylko zakręcił się i ruszył pędem do Sali pod głowami.

– Panie, twój uniżony sługa przybywa na wezwanie – drżącym głosem odezwał się błazen.

Król ze srogą miną wyjaśnił mu, co się wydarzyło. Stańczyk zrobił się jeszcze bladziej, z przerażenia. Skulił się, w oczekiwaniu na wyrok. Zapadła cisza, którą przerwał głos, dochodzący spod stropu: Rex Auguste, iudica iuste. Król wstał i zwrócił się do oskarżonego.

– Mój drogi, wiem, że nie zrobiłeś tego celowo, jednak naraziłeś me ukochane arras. Dlatego zabraniam Ci zbliżać się do nich, na odległość bliższą niż 1 łokieć i dwie stopy. Dzięki temu będziesz mógł dalej z nimi gawędzić i żartować. Tak postanowiłem i tak też uczynię.

– To sprawiedliwy wyrok – szepnął Stefan do Vincenta. W sali rozległo się klaskanie tysiąca dłoni. Stańczyk odetchnął i przysiadł na schodkach, podpierając głowę ręką.

Tymczasem w sali utworzyła się spora kupka splątanych nici. Król Łokietek rozkazał je zebrać i zanieść do wieży Zegarowej. Tam pająki starały się naprawić uszkodzone arras. Nie wszystkie nici udało się odnaleźć, dlatego w miejscach, w których ich brakuje widnieją szare plamy lub ubytki. Po siedmiu dniach, wszystkie prace konserwatorskie zostały ukończone. Dzwon Zygmunt oznajmił wszystkim tę wspianą wiadomość. Kiedy wybił ostatni dźwięk na chwilę zrobiło się ciemno, powiał wiatr. Vincent, Stefan i Julka znaleźli się ponownie w sieni przed arrasem „Walka smoka z panterą”. Wpatrując się w Drako, uśmiechnęli się, a smok mrugnął do nich okiem.

KONIEC





Patrycja Srebro

Zakłęte jezioro

Wyróżnienie w kategorii wiekowej klas IV-VI

Dawno, dawno temu, w pewnym królestwie, żył sobie pewien król. Mieszkał tam razem ze swoją szesnastoletnią córką. Miała ona na imię Alicja i już od swoich pierwszych lat całym sercem kochała zwierzęta. Jej ojciec jednak wolał na nie polować, a ściany pałacu wypełnione były porożami i zwierzęcymi skórami. Dziewczyna błagała go, aby zlitował się nad niewinnymi zwierzętami, ale na marne. Nigdy nie przepuścił okazji, aby zapolować. Pewnego dnia jednak znudziły mu się skóry i poroża, więc zapragnął czegoś więcej. Alicja sugerowała mu, aby zainteresował się szkłem lub tkaninami, ale mężczyzna nie chciał nawet takich „głupot” słuchać. Pytał o radę swoich poddanych, jednak żadna z ich propozycji nie spodobała się królowi. W końcu postanowił odwiedzić czarodzieja, który zawsze miał dla niego jakąś poradę. Gdy przyszedł na miejsce, czarodziej rzekł:

– Panie, weź swojego sługę i swoją córkę. Poślij ich do lasu, a gdy będą na miejscu, jednorożec podejdzie iłoży swą głowę na dziewczęcych kolanach. Wtedy sługa twój zetnie zwierzęciu głowę i przyniesie razem z rogiem. Ty oderwiesz go i przyczepisz na ścianie. Robiąc to, staniesz się bogaty.

Król słuchał jego słów z niedowierzaniem, lecz bardzo uważnie. Gdy czarodziej skończył mówić, uradowany władca poszedł w stronę wyjścia, ale mężczyzna zatrzymał go i wskazał szklaną kulę. Czarodziej bowiem chciał się przekonać, czy w sercu króla jest jeszcze odrobina dobra. Szklany przedmiot był biały, niemal przezroczysty, ale gdy czarodziej nią wstrząsnął, pojawiło się na niej jezioro.

Król zaskoczony spojrzał na kulę i przyjrzał się jej uważnie. Dostrzegł, że woda ma lekko czarny odcień. Z każdą sekundą jezioro czerniało i czerniało.

Minęła niecała minuta, a jezioro na kuli było już całe czarne.

– To zakłęte jezioro – wyjaśnił czarodziej.

– Gdy serce człowieka czernieje, jezioro także. Odczarować je może tylko jednorożec, który w swoim życiu spotkał dziewczynę o czystym sercu.

– Nie obchodzi mnie jakieś jezioro! Jak dla mnie, może być zupełnie czarne! Myślałeś, że to co powiesz odmieni moje chęci?! Jesteś zupełnie jak Alicja! Myślałem, że są jeszcze mądrzy ludzie na świecie! Będę mieć ten róg! – zdenerwował się władca.

– Co z pana za król! Wie pan w ogóle co to znaczy być królem?!

– O nie! Na to nie pozwolę! Słudzy! Do lochu z nim!

Na rozkaz króla przybyli słudzy i natychmiast zaciągnęli go do podziemi, a następnie wsadzili za więzienne kraty. Alicja, która słyszała całą tę historię, zaczęła szlochać. Wiedziała już, że z jej ojcem nie ma żartów i że będzie zmuszona wyruszyć na wyprawę. Nie myliła się. Nazajutrz rano, przed pałacem, czekał pewien młodzieniec. Wyglądał na nieco starszego od niej. Nie miał na sobie butów, a jego ubranie wyglądało jak kilka szmat zszytych ze sobą. Alicja nawet nie protestowała, wiedziała bowiem, że źle by się to dla niej skończyło. Wyruszyli więc. Szli tak i szli, aż wreszcie dotarli do lasu. Po drodze dziewczyna nawet nie patrzyła na chłopaka, ale gdy wreszcie na niego spojrzała, zobaczyła, że czuje się zawstydzony jej obecnością.

– Jak masz na imię? – spytała Alicja spokojnym głosem, nie chcąc go jeszcze bardziej krępować.

– Jestem Krystian.

– Ja jestem Alicja. Czy czujesz się przy mnie zawstydzony?

– Trochę – potwierdził nieśmiało, po czym dodał:

– Rzadko widuję takich ludzi, a gdy ich widzę, boję się, że zrobię coś nie tak i w ogóle...

– Rozumiem. Ale wiesz, że nic się nie stanie, jak zrobisz coś głupiego?! Ważne, abys był sobą.

Na te słowa chłopak uśmiechnął się lekko, po czym uciął.

– To tutaj. Ustaw się na środku i się nie ruszaj. Ja zacznę się w krzakach. – Wtedy Alicja przypomniała sobie po co tam przyszli i o mało się nie rozplakała. Krystian dostrzegł łzy w oczach dziewczynki, a jego twarz przybrała smutny wyraz.

– Muszę... – rzekł cicho. Po chwili czekania, jednorożec położył swoją głowę na kolanach Alicji, a chłopak podszedł do niej z szablą w dłoni.

– Proszę, nie rób tego! On na to nie zasłużył!

Po tych słowach szabla wypadła z rąk Krystiana i zniknęła w ziemi. Po prostu wsiąkła, niczym woda.

– Masz rację – odparł chłopiec.

Chwilę później liście drzew odsłoniły się, jakby tworząc ścieżkę. Jednorożec poszedł do przodu, ale zatrzymał się.

– Chodźcie za mną! Zaimponowała mi twoja odwaga chłopcze. Dla mnie ryzykujesz śmiercią! A ty Alicjo, masz złote serce i pragniesz abym żył. W nagrodę ulecę jezioro z klątwy.

Poszli więc. Po chwili wędrówki doszli do czarnego jeziora. Zupełnie czarnego. W darze wdzięczności jednorożec skłonił się i włożył do jeziora swój róg. Ze wszystkich stron zaczęły schodzić się zwierzęta. Jezioro już nie było czarne, a piękne, turkusowe i miejscami błękitne.

– No, pora wracać – odparła dziewczyna.

– Masz rację – powiedział Krystian.

Tak naprawdę chłopiec bał się pokazać królowi, ale wolał ukryć ten fakt przed Alicją. Gdy tak wracali, droga wydawała się dużo krótsza i szybko dotarli na miejsce. Król jednak nie złościł się na nich. Wręcz przeciwnie. Wypuścił czarodzieja, który wyjaśnił, że wraz z odczarowaniem jeziora odmienione zostały także czarne serca ludzi, które zabrudziły wcześniej to jezioro.

Jeszcze tego dnia ogłoszono ślub Alicji i Krystiana. Zaproszono licznych gości – od rodziny królewskiej, aż po służących i zwykłych okolicznych mieszkańców. Alicji nawet wydawało się przez moment, że wśród licznych zwierząt, które przybyły na uroczystość, znalazły się też niektóre z tych, które były nad jeziorem, a w tym jednorożec. Jednak nie miała czasu na rozmyślanie, bo goście wiwatowali krzycząc:

– Niech żyją nowi król i królowa!

Świętowali bardzo długo, a wszyscy bawili się świetnie. Jakiś czas potem wszyscy się rozeszli i żyli długo i szczęśliwie.





Małgorzata Adamska

Smok i pantera

I miejsce w kategorii wiekowej klas VII-VIII

Nad wodami i mokradłami górowało wzgórze, które było bardzo gęsto porośnięte drzewami. Nie sposób określić co to były za drzewa. Do złudzenia przypominały dęby, jednak ich pnie były zdecydowanie krótsze i cieńsze. Oprócz niby-dębów rosły tam drzewa rodzące okrągłe jak księżyc w pełni owoce. Być może były to jabłonie, ale całkiem możliwe, że nie. Może to były pomarańcze, a może inne cytrusy. Całe wzgórze pokryte było różnego rodzaju roślinnością. Zieleń jaskrawa, groszkowa, intensywnie trawiasta przeplatała się na zmianę z soczystą żółcią, pistacją i seledynem. Gdzieniedzie można było dostrzec drobne niezapominajki, a także wiotkie dzwonki. Roślinność ta czerpała życie z pobliskiego jeziora. Woda ze zbiornika nie tylko umożliwiawała przetrwanie roślinom, ale także tamtejszej faunie. Nieco dalej od jeziora roślinności było coraz mniej. Przeważały puste konary, zwiędłe liście, dominowała szarość i smutek. Lasy były wypalone a kwiatów praktycznie nie było wcale.

W tym środowisku żyły wrogo nastawione do siebie bestie: pantery i smoki. Wzgórze było niesprawiedliwie podzielone na korzyść smoków przez co zwierzęta zacięte ze sobą konkurowały o każdy kawałek terenu. Smoki były olbrzymimi węzami, których siła kryła się głównie w ich ogonie. Oprócz silnego ogona w walce używały jeszcze jednej mocy, którą dawał im zatruty oddech. Smoki te były skrzydlate, ale zdarzały się również okazy pozbawione skrzydeł. Te bez skrzydeł nie mogły latać, ale doskonale radziły sobie w wodzie. Mogły mieć również dwie lub cztery łapy, było to zależne od rodziny z jakiej pochodziły. Jeśli chodzi o ich wroga – pantery, to były one jak olbrzymie psy. Odstraszały smoki swoim słodkim zapachem, który uwalniany był w czasie walki z ich psiego pyska. Ta mieszanina słodkości i zatrutego oddechu powodowała, że powoli zamierało życie roślin na wzgórzu.

Pewnego słonecznego dnia gdy grupa nakrapianych czworonogów spodziewała się przyjemnego relaksu przy bajorku, przywódca, największa z całej gromady pantera wylegając się w słonecznych promieniach wyczuł duszący zapach palonego węgla. Ten zapach zwierzę kojarzyło z kłótniami, ponieważ smoki, w sytuacji nerwowej prycały, jednocześnie wydobywając z siebie kłęby ognia. Tylko jeden smok nigdy nie buchał ogniem, nigdy się nie kłócił, wiódł radosne życie w imię pokoju. Był to potomek przywódcy smoków. Dla niego wszystko było kolorowe, szczęśliwe. Ze wszystkimi próbował się dogadać i z nikim się nie sprzeczał. Uwielbiał spędzać czas nad jeziorem, które stanowiło granicę terytorialną smoków i panter. Twierdził, że pantery nie są ich wrogami tylko wystarczy je bliżej poznać żeby się z nimi zaprzyjaźnić. Ale dzisiaj małego smoka nie było... Gdy lider pantery wyczuł opary natychmiast wstał z wygodnej pozycji i wodząc wzrokiem próbował znaleźć kierunek, z którego nadchodziły smoki. Kręcił się nerwowo w koło i wywąchiwał wroga. Gdy mu się udało wyczuć nieprzyjaciela, to był on już tak blisko, że ucieczka nie miała sensu.

– GDZIE... JEST... MÓJ... SYN?! – wywarczał naczelny smok.

– Co miałby robić na naszym terytorium? – zapytała pantera. – Nie ma go tutaj. Żaden smok nigdy nie przekroczył granicy naszego terenu.

– Wiem, że go uprowadziłeś – nie dawał za wygraną smok. Jeszcze wczoraj był razem ze mną. Dopiero dzisiaj rano zniknął. Nikt inny nie mógł go porwać. Mogłeś to być tylko ty.

– Naprawdę go tutaj nie ma, po co miałbym tworzyć kolejne preteksty do kłótni?

– Oboje dobrze wiemy, że moje terytorium jest większe, ale dlaczego mieszasz w to mojego pierworodnego? Czyżbyś chciał przez to wywalczyć dla siebie kolejny kawałek ziemi?

– Naprawdę nic nie wiem!– zaczęła syczeć coraz bardziej poirytowana pantera.

– Dlaczego nie mogliśmy tego załatwić inaczej?! Bez śmierci mojego potomka!– wychlipał zdruzgotany smok.

– Jakiej śmierci? Nie zrobiłem mu krzywdy, naprawdę, ale n...ni...nie martw się, pomogę Ci go szukać, jeśli chcesz– z trudem zaproponowała pantera swojemu dawnemu wrogowi.

– Tak! Tak! Dziękuję! – ucieszył się smok.

Rozpoczęto poszukiwania. Zaczęli od dokładnego sprawdzenia terytorium które opanowane było przez pantery. Krążyli pomiędzy drzewami, szukali pod kamieniami, głazami a także pod krzakami a nawet w dziuplach drzew. Zaglądali w najbardziej odległe zakamarki i zapuszczali się do najbardziej odległych miejsc. Na czas poszukiwań zawarli sojusz. Było to jedno z najmniej oczekiwanych i zaskakujących wydarzeń. Nikt się nie spodziewał, że do tej pory tak zaciekli wrogowie mogą podejmować wspólne działania. Ich poddani byli zaskoczeni i dezorientowani. Nie wiedzieli czy mają nadal ze sobą walczyć czy mogą ze sobą współpracować a może nawet zaprzyjaźnić się. Przywódcy nie przejmowali się reakcją poddanych. Oboje mieli jeden cel, chcieli odnaleźć syna króla smoków. Panterze zależało na tym ponieważ gdyby syn się nie odnalazł, to już do końca byłby uważany za zabójcę niewinnych dziecko-smoków. Nie miały szans na sojusz i nigdy nie mógłby liczyć na pomoc smoków w razie gdyby on sam jej potrzebował. Gdy z niepowodzeniem przeszli przez całe terytorium nakrapianych panter, zdecydowali się przeglądnać również zakamarki raju łuskowatych. Niestety również bez skutku. Podeszli pod jezioro, które wcześniej było turkusowe i przezroczyste a teraz przeważały w nim kolory szarości i czerni. Nadeszły najczarniejsze myśli. Smok i pantera przerzucali się myślami....

– On...

– Nie...nie mógł...to smok

– Ale...na pewno...? Czy...on ... utonął?

Takie były ich pierwsze myśli, ale z drugiej strony poddawane były pod wątpliwość. Jak mógł utonąć smok. Przecież te bestie żyły w wodzie. Od urodzenia uczyły się pływać i żadna otchłań wodna nie stanowiła dla nich żadnej przeszkody. Woda była ich środowiskiem...była ich miejscem zabaw... miejscem nauki....

– Musimy...musimy, sprawdzić...– kroczyli w smutku, ponurym nastroju... spodziewali się, co znajdą. Doszli do jeziora i znowu zaczęły się pomiędzy nimi sprzeczki.

– To kto nurkuje? – Zapytał smok

– Ja nie mogę, jestem kotem!

– DRAPIEŻNYM

– Ale wciąż kotem!

– To twoja wina, że się utopił! Gdyby nie Twoje ciągłe kłótnie i walki o terytorium nie szukałby schronienia w jeziorze.

– Jeszcze nie wiesz na pewno! Może się bawi w chowanego. Poza tym to twój syn– odrzekła pantera

Ledwo wypowiedział te słowa stało się coś niespodziewanego... ujrzeli chmurę kłębiącego się toksycznego, szarego dymu zmieszanego z językami ognia.

– Nie, to nie może być on, prawda– zapytał smok

– To chyba twój syn, ale musimy to sprawdzić

Pofrunęli więc do stóp wzgórza. Dosłownie pofrunęli, ponieważ smok wziął panterę na grzbiet. Szybowali ponad koronami drzew i z wysoka widzieli jak bardzo ich kłótnie poróżniły mieszkańców wzgórza. Po stronie zamieszkiwanej przez pantery praktycznie nie było owocowych drzew.

Wszystkie one były zniszczone podczas walk ze smokami. Przypalone konary, pozbawione koloru liście...Po stronie Smoków było dokładnie to samo. Niewielkie obszary pozostawały zielone i kwieciste. Głównie były to miejsca w koło jeziora, które dzieliło strefy zwierząt. Tam roślinność nie poddawała się i za każdym razem gdy walki powodowały ich wędniecie one znowu rodziły się do życia. Zaprzyjaźnieni dawni wrogowie dotarli do stóp Wzgórza gdzie zauważyli potomka smoka.

- Synu, nic Ci nie jest? – zapytał szczęśliwy ojciec.
- Nie, ale nie czuję tylnych łap – spojrzeli na jego odnóże i zamarli. Były...z brązu!
- Synu, co się stało? Nic, po prostu... Nie chciałem żebyście się kłócili.
- Ale jak zamieniłeś swoje łapy w brąz? – pierworodny wodza smoków spojrział w dół.
- T...ta...tato, to nie ja – powiedział ze łzami w ślepiach.
- Synu...Powiedział ojciec próbując podnieść swojego potomka – nie dam rady.
- Spokojnie – do rozmowy dołączyła pantera.
- Co spokojnie? Co spokojnie?! To wszystko przez ciebie!
- Nie to nie on, tato. To samo się stało...
- TO TWOJA WINA – wywarczał z pianą w pysku smok i rzucił się na panterę. Rozpoczęła się brutalna i drastyczna walka.
- PPPRRZZZZZESTAŃCIE! – wykrzyknął młody smok. Było to jego ostatnie słowo.
- Synu! – krzyknął zrozpaczony ojciec i rzucił się do stóp swojego jedyne go syna, obecnie już tylko brązowej figury. Natychmiast podbiegła do nich pantera.
- To nie twoja wina – powiedział nakrapiany zwierz.
- To nasza wina... – z tym zgodzili się już oboje.
- On zawsze był taki spokojny, był przeciwny kłótniom...
- Złe emocje, nasza walka i podniesione ryki go... pokonały – Pantera i smok szybko odkryli, że to ich kłótnie i walki spowodowały smutny koniec małego smoczka... Spokojne do tej pory jezioro, które dawało życie roślinom i napajało zwierzęta postanowiło odmienić los mieszkańców wzgórza. Woda, która do tej pory dawała życie spowodowała, że młody smok po jej wypiciu za każdym razem gdy zwierzęta kłóciły się tracił jakąś część swojego smoczego ciała, która zamieniała się w brąz. Miało to uświadomić wszystkim zwierzętom, że przemoc i walki nie prowadzą do niczego dobrego. Powodują tylko chaos i nieporozumienia. Najważniejsze jest wspólne działanie i przyjaźń, która może wiele zdziałać i pokonać wszystkie trudności. Pantera i smok zbyt późno zdali sobie z tego sprawę. Do tej pory stojąca u stóp Wawelu figura przedstawiająca zionący ogniem posąg zwany „Smokiem Wawelskim” bucha ogniem, gdy w jego ukochanym mieście Krakowie, ktoś się kłóci...

KONIEC





Ada Bątkiewicz

Czy z arrasów można się nauczyć czegoś o życiu

Wyróżnienie w kategorii wiekowej klas VII-VIII

Patrzę na Ciebie, kiedy wchodzisz do sali, choć Ty jeszcze mnie nie widzisz. Właściwie możesz wcale mnie nie zauważyć, nie rzucam się w oczy – taka zresztą moja natura... Jednak patrzę i słucham uważnie, zapamiętuję wiele i niejedno mogę opowiedzieć... Czy podobają Ci się tkaniny, które widzisz? Zatrzymałeś się tylko przy niektórych – pewnie wydają Ci się stare, niemodne, a Ty wolisz swój nowoczesny świat.

Moi prapraprapradziadkowie też byli nowocześni: zbudowali swoje mieszkanie nie w puszczy, na konarach drzew, ale na wieży. To był pierwszy tak wysoki budynek w okolicy. Odtąd wiele pokoleń moich przodków wybierało to miejsce i żyło w pobliżu ludzi. Także moi rodzice postanowili osiąść na wieży, choć była to już inna, wyższa i nowocześniejsza budowla. Chwalili sobie dużą liczbę myszy, które od dawna również znajdowały tam kryjówkę... Poza tym mocne ściany budynku chroniły ich przed wichurami i zamieciami, narzekać można było tylko na hałas, choć dokuczał on jedynie w święta i z okazji większych wydarzeń. Jak mówiła mama, pewnego razu, gdy na wieży zawieszono dzwon, zrobiło się tak głośno, że uznali, iż trzeba się wyprowadzić. Urodziłam się więc w innym miejscu... w gnieździe na Baszcie Sandomierskiej.

Lubiłam patrzeć na pobliskie dziedzińce i drogi, bo zawsze działo się na nich coś interesującego. Szczególnie, kiedy młody królewicz wybiegał do ogrodu. Jego mama założyła zupełnie nowy skwer zamkowy, w który uprawiano inne, nieznanne wcześniej rośliny, co u wielu dworzan wzbudzało dezaprobatę. Nie wszyscy byli zwolennikami tej – jak mawiali z przekąsem – „włoskiej mody”.

Czasem wybierałam się w dalsze podróże. Zwiedzałam Puszcę Niepołomicką, przelatywałam nad słonecznymi ogrodami nadwornego lekarza królowej – na Lekarce w pobliżu wielickiego Zamku Żupnego, widziałam polowania dorastającego królewicza, a właściwie już króla...

Mieszkałam w pobliżu monarszego dworu także wtedy, kiedy sama założyłam gniazdo. Wybrałam Basztę Senatorską, skąd rozpościerał się jeszcze lepszy widok na ogrody i dziedzińce. Szczęśliwie żyło się w tym miejscu. Wychowałam dwoje piskląt, których starałam się nauczyć wszystkiego, co powinny wiedzieć. To był chłopak i dziewczynka. Dni spędzaliśmy w gnieździe na baszcie, a kiedy zapadał zmrok, przychodził czas na naukę: kiedy i gdzie polować, jak dzielić zdobycz, kiedy pozostawać bezpiecznie w kryjówce, a kiedy można spokojnie szybować lub bez strachu przyglądać się światu z wysoka... Trudno takie lekcje prowadzić na zamku, dlatego wybierałam wówczas bardziej ustronne okolice.

Kiedy przyszła pora na pierwsze polowanie, znalazłam doskonałe miejsce. Był to łagodnie opadający teren na zachodnim skraju puszczy, gdzie drzewa nie rosły zbyt gęsto a teren biegł ku bliskiemu korytu Wisły. Chodziło o to, żeby pisklęta mogły czuć się bezpiecznie, a zarazem swobodnie. Ścieżki wiodące w głąb lasu nie były uczęszczane, dookoła panowała cisza. Las się przerzedzał, a wielkie dęby opuszczały łagodnie swoje konary w kierunku słońca, dając schronienie wielu ptakom. Między wystającymi korzeniami przemykały gryzonie oraz żuki i inne owady. Runo leśne było bogate w owoce i kwiaty stanowiące pożywienie różnych stworzeń, zaś bluszcz wspinał się na pnie i dawał cień, w którym chowały się drobne ptaki.

Mogłam być pewna, że pierwsze polowanie zakończy się zdobyciem wymarzonego trofeum i moje młode staną się bardziej samodzielne oraz – na czym mi szczególnie zależało – pewniejsze siebie. Wskazałam im parę kolorowych ptaków, które siedziały na skraju lasu. W pobliżu odpoczywało jeszcze kilka srok, sójek i sikorek. Były zajęte czyszczeniem piór i nie zwracały uwagi na nas, ukrytych wśród drzew i niewidocznych dzięki wtapiającemu się w tło upierzeniu. Za to ich kolorowe piórka połyskiwały aż miło nawet w ten letni wieczór.

– Dzieci, do dzieła! – dałam sygnał i zaczęło się...

Oboje szybko wylecieli z kryjówki! Zaczęli krążyć na niebie obserwując okolicę, aby wybrać piękną zdobycz. Traf padł na tłustą sójkę, którą wypatrzyli pod dębem. Stwierdzili, że muszą uzgodnić plan, ponieważ gdyby oboje starali się upolować tego samego ptaka dokładnie w tym samym momencie, najprawdopodobniej by on po prostu uciekł.

– No dobra, musimy ustalić, kto zaatakuje tego ptaka... - zaproponowała siostra.

– Nie myślisz chyba, że dam ci upolować tę tłustą sójkę?! – odburknął brat, po czym sam rzucił się w dół,

myśląc, że uda mu się dosięgnąć upatrzoną ofiarę. Zanim jednak chwycił ją szponami... zdążyła odfrunąć.

– Widzisz, co zrobiłeś? Spłoszyłeś najlepszą zdobycz! – huknęła siostra.

– No dobra, OK! Przyznaję się, że go spłoszyłem. Nie krzycz tyle. Patrz, wyżej siedzą jeszcze dwa kolejne

ptaki! – wykrzyknął brat.

– W takim razie ja zapoluję na tamtą sójkę siedzącą nad brzegiem strumyka, widzisz? – zapytała siostra.

– Nie! Ja pierwszy poluję, nie ty! – odparł oburzony brat.

– Ty już miałeś szansę i pięknie ją zmarnowałeś, teraz moja kolej! – negocjowała siostra.

– Niech ci będzie, ale pamiętaj jeśli ci się nie uda, to ja biorę następnego ptaka! – skwitował brat.

Zastanawiałam się, kto okaże się sprawniejszy. Siostra przez chwilę się wahała, lecz wiedziała, że chce zwyciężyć w tych zawodach, a poza tym pomyślała, że jeśli nie spróbuje teraz, to jej brat spłoszy kolejnego ptaka. Z pewnością nie chciała też, żeby mama była zawiedziona tak długim czekaniem na koniec polowania.

Siostra powoli i bardzo cicho zbliżyła się do sójki, która jej w ogóle nie spostrzegła. Błyskawicznie zacisnęła szpony, złapała ofiarę, obezwładniła ją silnym ciosem, poderwała z ziemi, aż wreszcie dźwigając łup sfrunęła z nim prosto pod drzewo, do swojej matki i naburmuszonego brata.

Serce biło mi mocno, pierwsze polowanie mojej córki było od razu udane!

– Jestem z ciebie bardzo dumna, że dałaś radę złapać tak okazałego ptaka. Teraz wszyscy możemy się najeść! A ty, synku, musisz jeszcze poćwiczyć. Popatrz na wyższe konary, znajdziesz jeszcze coś dla siebie. I pamiętaj: więcej strategii, mniej bufonady, oczywiście jeśli nie chcesz iść spać głodny! – To była ostatnia „nauka” jakiej udzieliłam dzieciom...

Czy w tamtym momencie obserwował mnie rzemieślnik, który później naszkicował projekt werdiury?

Tak, rzeczywiście, masz rację, prezentuję się na niej dostojnie i mądrze. Musisz jednak wiedzieć, że dla mojego gatunku to doprawdy nic niezwykłego: już na greckich wazach uwieczniano dumne ateńskie sowy. Ot, typowy motyw... Jestem ciekawa, czy na mnie spojrzysz? Jeśli dobrze się przyjrzyj, znajdziesz mnie i moje pisklęta przedstawione jako alegorię nauki, poszukaj.

A jeśli chcesz zapytać o Hedwigę... Tak, znam ją, to moja kuzynka. Zawsze, kiedy się spotykamy, prosi, żebym opowiedziała jej o czymś, „co wydarzyło się naprawdę”. Mówi, że te historie są równie, a może nawet bardziej ciekawe niż wszystko, co przytrafiło się jej...

Werdiurowe OPOWIASTKI

1 września 2021 Dział Edukacji Zamku Królewskiego na Wawelu we współpracy z Biblioteką Kraków ogłosił literacki konkurs dla szkół podstawowych województwa małopolskiego do wystawy *Wszystkie arrasy króla. Powroty 2021 – 1961 – 1921*, prezentowanej w komnatach królewskich od 18 marca do 31 października 2021 roku. Wśród przedstawionych na ekspozycji 137 królewskich tapiserii znajdował się zespół 44 werdiur, czyli tkanin przedstawiających rośliny i zwierzęta na tle krajobrazów. Zadaniem uczestników konkursu było wybranie jednej z nich i napisanie opowiadania, w której bohaterami stałyby się utkane na niej zwierzęta z wykorzystaniem tła krajobrazu jako opisu historii.

Na konkurs nadesłano 56 prac w dwóch kategoriach wiekowych z następujących szkół: SP 26 im. A. Struga, SP 41 im. J. Kochanowskiego, SP 55 im. J. Iwaszkiewicza, SP 124 im. M. Skłodowskiej-Curie, SP 111 im. Wojska Polskiego, SP 129 im. K. Makuszyńskiego, SP z Oddziałem Dwujęzycznym im. Piotra Michałowskiego TSSP, Społeczna SP nr 3 STO – Kraków, Niepubliczna SP Montessori School w Wieliczce, PSP Czyżówka, SP Trzebinia.

W dniu 6 grudnia 2021 jury pod przewodnictwem Melanii Kapelus, autorki książek dla dzieci dla dzieci i młodzieży przyznało nagrody i wyróżnienia w dwóch kategoriach wiekowych.

Melania Kapelus

Absolwentka prawa i studiów literacko-artystycznych na UJ. Autorka dziewięciu książek (m.in. *Mitologia. Przygody słowiańskich bogów, Krasnoludki, Zając zostaje!*) oraz kilkuset tekstów literackich dla najmłodszych. Od lat związana z magazynem dla dzieci *Świerszczyk*. W swojej twórczości niezwykle umiejętnie łączy humor z łagodną dydaktyką.

Z wykształcenia jest prawnikiem, więc ustawy pełne zagmatwanych paragrafów czyta jak dobry kryminal. Kiedy wygląda przez okno w swoim pokoju, widzi las, po którym biegnie wena. Jeśli się bardzo postara, to udaje jej się wenę złapać za nogi. Wtedy powstają takie książki jak *Kinga i co z niej wyrośnie, Kinga i jak ją rozgryźć, Koty, czyli historie z pewnego podwórka, Krasnoludki, Tajemnica pewnej sąsiadki, Zając zostaje* czy ta ostatnia, nad którą się bardzo napracowała: *Mitologia. Przygody słowiańskich bogów*. Dla *Świerszczyka* napisała już kilkaset tekstów. Od paru lat na jego łamach wspólnie z Bajetanem Hopsem publikują pamiętnik tytułowego bohatera. W swojej twórczości niezwykle umiejętnie łączy humor z łagodną dydaktyką. Pisząc bajki zazwyczaj ubiera ludzi w postaci zwierząt. Mieszka pod Krakowem, w domu z widokiem na las.

